

Plotki lwowskie.

(Wykupno tramwaju jako dobry interes. — Jeszcze o p. Grąbczewskim. — Skarbkowska 16. — Deklamacja p. Mokrzyckiego. — Heller i jego święci).

Obok dalszych procesów sądowych pana Grąbczewskiego, co już przestało robić sensację, najważniejszym faktem ubiegłego tygodnia jest wykupno tramwaju konnego wraz z końmi, konduktorami, woźnicami i kamienicą, która to sprawa już bardzo długo zaprzęta umysły mieszkańców, a ostatecznie w ubiegłym tygodniu na chwałę naszej rady miejskiej, a na pożytek miasta, dobiegła szczęśliwie do końca. Wprawdzie zapłaciło teraz miasto za tramwaj o kilkadziesiąt tysięcy więcej, aniżeli samo towarzystwo tramwajowe dopiero przed rokiem żądało, ale gdy się uwzględni, że od roku konduktorowie się postarzelili, posunęli w pensjach i doświadczeniu, że konie zjadły dużo owsa, a niektórym w miejsce wylazłych sprawiono nowe ogony, że wozy zyskały prawie na wartości, wprawdzie nie dla lepszego ich stanu, ale jako antyki nadające się do muzeum starożytności, i że szyny bądź pływają po błocie, bądź wiszą między niebem a ziemią, stanowiąc nierozwiązalną zagadkę dla zagranicznych techników — gdy się to wszystko uwzględni, należy przyznać, że miasto pomimo wyższej ceny zrobiło na tem kupnie doskonały interes.

Ale interes jest dla obu stron dobry. Tramwaj z prywatnej instytucji przemienił się odrazu w miejską, konduktorzy, konie i ich potomstwo będą odąd funkcyjnarzami magistratu, a szyny będą symbolem drogi, którą chadza gospodarka miejska. Leczyć to wszystko tylko do przyszłego lata, kiedy miasto przystąpi do rozszerzenia sieci kolei elektrycznej. Co się potem stanie z inwentarzem tramwaju konnego, jeszcze niewiadomo.

Najprawdopodobniej posłuży on do założenia miejskiego zakładu pogrzebowego, ile że wozy dadzą się bardzo dobrze przerobić na karawany a konduktorzy na karawaniarzy. Tylko niektóre konie trzeba będzie koniecznie przemalować na czarno, bo większość koni tramwajowych składa się z samych blondynów.

Jak z powyższego przedstawienia rzeczy widać, pomysł wykupna tramwaju konnego był świetny a skutki jego są wprost nieobliczalne. Mamy więc obok wyjazdu p. Grąbczewskiego jeszcze jeden powód do uciechy.

Co zaś do p. Grąbczewskiego, to już naprawdę współczuję z nim, skoro pomyśle, że zli ludzie uwzięli się, ażeby mu drogą procesów sądowych odebrać to, co sobie uciulał we Lwowie. Od jakiegoś czasu stoi ciągle w sądzie i płaci. Podobno nawet ci wszyscy, którzy w ostatnim miesiącu podpisali umowę na kilka gościnnych występów w teatrze miejskim, musieli w kontrakcie dodać klauzulę: „Obowiązuję się zarazem dyr. Grąbczewskiego nigdy nie pozywać do sądu“. Adwokat p. Grąbczewskiego z powodu wycieńczenia udaje się do Włoch na kilkutygodniowy odpoczynek, radca Philip, rozsądzający te spory, prosił również o dłuższy urlop, a dyr. Pawlikowski zachorował na jakieś bliżej nieokreślone wstrząśnienie i od pewnego czasu nie wtrąca się w porządki operowe.

Za to wszystko może sobie jednak p. Grąbczewski powiedzieć, że żaden aktor, żaden kierownik, żaden artysta Colosseum nie zostawił po sobie tylu przyjaciół, takich recenzji i osobnych artykułów dziennikarskich, tylu sprawozdań z procesów sądowych, tyle kpín, drwin, śmiechu, politowania i innych znaków popularności, ile on, on jeden: p. Wiktor Grąbczewski. To też dał sobie słowo honoru, że do Lwowa już nigdy nie powróci, do czego ma dwa słuszne powody: raz, że Lwów okazał mu się grubo niewdzięcznym, jak dotąd nigdy żadnemu artyście, a po drugie, że do Lwowa by go już nie wpuszcili.

Zal nam więc nie tyle za samym panem Grąbczewskim, ile za sensacjami, które dzięki jemu mieliśmy co drugi dzień, a do których przyzwyczailiśmy się, jak banki do defraudantów, publiczność do klakierów, obywatele do egzekucyj podatkowych, policyjanci do konsulów i konsulowie do policyantów.

Skłamałby jednak, ktoby twierdził, że my już poza panem Grąbczewskim nie mamy własnych swojskich sensacji, choćbyśmy tylko dla przykładu w spacerze po Lwowie zatrzymali się na chwilę przy ul. Skarbkowskiej 1. 16, gdzie do zeszłego tygodnia mieściła się znana i renomowana świątynia najwolniejszej miłości. Kapłanką tej świątyni była pani Kosińska, która w swoich gościnnych salonikach podejmowała lwowskie Fryny i Astarty, te

z urzędu i dyletantki a nawet adeptki, umożliwiając im przebycie kilku rajskich momentów w zacisznym kątku, zdala od gwaru wielkomiejskiego i czujnego oka wykiwanych mężów i narzeczonych.

Sensacją właściwie nie jest to, że przy ul. Skarbkowskiej 1. 16 była świątynia miłości, bo takich przybytków tajnych jest we Lwowie bardzo wiele, ale sensacją jest, że policja ten przybytek odkryła, a raczej, że wiedząc o nim już dawno, zdecydowała się nareszcie zamknąć go i ogłosić jego dzieje a swoją czujność w dziennikach. Powodem tego dzielnego kroku naszej policji był list anonimowy.

Ale sam fakt zamknięcia wywołał w całym mieście, a zwłaszcza w sferach interesowanych, wrażenie. Nic dziwnego... Miejsce pamiętne tysiącem gorących westchnień, milionem palących pocałunków i słodkich szeptów zakochanych par, zamknięte i opieczetowane brutalną ręką niewyrozumiałej policji... Zasmucił się opuszczony ołtarz Astarty, a jego kapłanka poszła do kryminału. A więc: Rynek 43, Ormiańska 17, i Skarbkowska 16 — to posterunki dotąd stracone, a ich kapłanki *in partibus infidelium* szukają gruntu pod nową świątynię. Inne jeszcze prosperują. Lwowska policja ma podobno rejestr tajny, w którym skrzętnie notuje wszystkie karambole z odnośnym przykazaniem bożem, a w tym rejestrze mieszczą się nazwiska, o jakich nie śniło się tym, którzy swoim żonom te nazwiska dali z całym zaufaniem głupich i ślepych mężów. Są tam panie znane z cnót i miłosierdzia, panie, których mężowie piastują znakomite urzędy i godności, a jednak...

Bo to już taki świat i ludzie, a zwłaszcza one, te nasze piękne, okrutne i niepoprawne, jak długo piękne, jak długo młode... Ma się rozumieć, że nie wszystkie, ale też i nie mało ich, a dalej ma się rozumieć, że nie same są winne, ale zawsze jest przytem ktoś z wąsatych lub przynajmniej z miejscem na wąs... Dlatego słusznie radzi radny p. Mokrzycki (o którym jeszcze coś dziś powiemy), żeby podzielić miasto na dwie nierówne połowy, osobną dla pań a osobną dla panów, tak jak galeria w sali ratuszowej.

Prócz tego p. Mokrzycki, najdowcipniejszy z radnych lwowskich, miał w tym tygodniu sposobność wygłosić dłuższą mowę, która na długo zostanie w pamięci słuchaczy. Dzięki znajomości z najgrubszym i najdyskretniejszym reporterem udało mi się dostać oryginał mowy podług stenogramu, a że lwowskie dzienniki przeszły nad tą perłą krasomówstwa do porządku, przeto uważam za stosowne uratować to cacko od niechybnej śmierci przez zapomnienie i powtarzam cały ten utwór czy upust fantazji znakomitego radcy w całości:

„Panowi! Ta wy wici, co ja do chulery ciężki nie jeżdżę radny od parady, ali mam wszyski klepki w kupi tam gdzie się należy — nu, brawo cy ni brawo? (*Brawa*). A widzici! Więc wedle tego co tu mój następcę gadał przed chwilą i furt bajtlował o te durny drożdżyny, to ja panom gadam, co to wszystko jest pani dzieju do dubyny. Oraz jeszcze to panom powim, albo nie, panowi, powidzcie mi panowi, na co my si mamy wtrącać z naszym nosym do te drożdżyny!? Co nas obchodzi, co w mieści jest drożdżyna cy tanizna? Ja panowi jeżdżę mądry człowiek, o tym panowi już wici dawno. (*Potakiwania*). Dziękuj panom, ali proszę was panowi co was to obchodzi, cy w naszych jatkach je drogo cy ni? Aby było mięso fajne oraz bez kości, ale co wam do tego, ili my bierzemy za mięso, ha? Nu ni? (*Brawa niemilknące*). Ale przepraszam, proszę mi przypuścić do słowa! Bo nasz magistrat to jest tak jak ta krowa, naprzód furt głupstwa robi, a potem si rumieni. Nu ni?! My tu u Lwowi ni mamy żadny drożdżyny, ali ouszym jest bardzo przyjemni! A w naszym majstraci ino furt kalkulujom, jakby ino zaradzić te drożdżyny, który nawyt nima. Sprowadzilismo mięso prowincjonalny, założyli końskie mięso nie wiedzieć, na jaki chulery, bo przeci my, już tu daumo sprzedawali taki koniny. Potem jakiś tani upał, co nikomu nie do tego cy mnie ciepło cy mnie zimno, a wreszcie jakiś pikarni miejski i jakiś do cholery ciężki — miejski zakład pogrzebowy (*brawa bez końca*) zaraz, proszę nie przerywać, co to niby je największy nonsens, bo my nie św. Piotr, abyśmo si starali o niboszczyków. A moży panowi jeszcze chcenci założyć jakiś miejski pralni? Miejski tyngel? Może odkupimy Colosejum Hermanów z dziwkamy, ha? (*Wesołość i brawa*). Co do rzeźni, gdzie byli nawet żywy obrazy, to ja sobie zastrzegam głos na potem, ali co do ty drożdżyny to mnie si akuratni przypomina ten byk, któren jak mu ucieli ogon, to on milczał, ali jak na niego spadł listek, to on nie ryczał, czy jak tam, bom już to

dawno czytał, to nie pamiętam. No więc zdaje m się, że panowi już zrozumieli o co chodzi, brawo cy ni brawo? (*Huczne brawa — wesołość*). Na, więc nie zakręcajcie nam kontramajtki z jakąś drożdżyna, bo mnie się przypomina właśnie ta panie dziej krowa, która z przeproszeniem dużo ryczy a nigd nie ukąsi cy jak tam. Panowi, ja jeżdżem taki f nansista, że wy o tem nawet nie wicie. Więc dla czego wy panowi występujecie przeciw drożdżynie, która dziś jest w modzi, bo dziś wszystko podrożało. Ja dawni jakim dał czeladnikowi albo kom innemu w pysk, to zapłaciłem w sądzi piątkę, a dziś jak daję komu w pysk, to już mi w sądzi każą płacić dziesiątkę, bo i to widać podrażało. A ja si wcali ni dziwuję, bo ja panowi jestem finansista — brawo cy ni brawo“?

Mowa p. Mokrzyckiego wywarła wprost szalone wrażenie. Kilkunastu rajców zapadło na spazmy, trzech musiano wynieść ze sali na noszach, cała Strzelnica się wściekła, a jej członkowie wzajemnie się pokąsali, dwóch rajców udusiło się ze śmiechu, a jeden pękł i tylko dzięki ciasnemu garniturowi nie rozleciał się w kawałki. Prezydum postanowiło odąd zapowiadać zawsze naprzód interesujące występy pana Mokrzyckiego i wpuszczać publiczność za wstępem. Najbardziej interesującym będzie jego występ w sprawie teatralnej na jednym z najbliższych posiedzeń Rady.

Bo choć już pewnem jest, że teatr miejski otrzyma Heller, to jednak musi ta sprawa przejść przez wszystkie instancje, będzie się nad tem dużo debatować i radzić, ażeby w końcu uchwalić to, o czem już dawno wiedzą wróble na dachu ratuszowym. Inna rzecz, że już niektórzy ludzie kuja żelazo póki gorące... A każdy ma swój interes... Ten chce, by jego protegowana dostawała lepsze role, inny chce kogoś wkreślić, inny kogoś wykreślić, znów inny poluje na posadę — to wszystko daleko sięgające plany wymierzone w Hellera. A Heller pracuje... Pisz artykuły, odkrywa wrogów, demaskuje przyjaciół, a przedewszystkiem już dziś liczy, liczy, liczy... Obawiam się o Hellera... Kiedy Japończykom świetnie się wiodło, niejednokrotnie w prasie zagranicznej wyrażano obawę, że upoją się własnym powodzeniem, we łbie im się przewróci i gotowi się potknąć... Ale Japończycy, to wschodnia spokojna natura, oni się nie dali... Heller to człowiek zachodni, energiczny, pracowity, ale szybki, nawet raptus... Obawiam się o Hellera, by mu się nie przewróciło w głowie... Popierają go, pchają ze wszystkich stron, ale to nie tylko mu nie doda równowagi, lecz i owszem, może go jej pozbawić. Znana to bajeczka o owym Mazurze Wojtku, który uwiązał konia przed karczmą a sam wstąpił na wódkę. Po godzinie wyszedł z karczmy urznięty i w żaden sposób nie mógł na konia się wygramolić.

— Święty Walanty dopomóżta! — podskoczył, ale nie idzie...

— Święty Józefie — woła dalej Mazur — dopomóżta! — próbuje dosiąść konia, ale nie szło...

— Święty Jantonie dopomóżta! — podskoczył trzeci raz, ale daremnie.

— Wszyscy święci dopomóżta! — zawołał Wojtek i w tem przekonaniu, że mu wszyscy święci są pomocni, skoczył tak silnie, że aż przeleciał na drugą stronę, a po drodze woła:

— Hola, hola, nie wszyscy razem!

I p. Heller mógłby zawołać:

— Hola, hola, nie wszyscy razem, ale... póki czas...

Niech p. Heller nie bierze zbyt wielkiego rozpędu, niech nie wzywa wszystkich świętych...

Klewe.



Kącik humorystyczny.

W nadmorskiem miejscu kąpielowem.

— Patrz, Aronie, na moje formy! Nie dość tego bogactwa? Co?

— Ny, Salezu — jak na nasze stosunki — to za mało!...

Przed sądem.

Sędzia: Oskarżony tu jesteś o to, żeś rzucił przez okno butelką na przechodzącego pana Y. i o mały włos, a byłbyś mu rozbił głowę.

Obróńca X: Prześwietny Trybunale! Znajac mego klienta od małego dziecka, mogę stanowczo powiedzieć, że ten, który flaszką przez okno rzucił na oskarżyciela, nie był mój klient, bo gdyby on był rzucił butelką, to byłby oskarżonemu na pewne głowę rozbił. Z tych zatem powodów proszę o uwolnienie mego klienta...